© ARCHIWUM WSCHODNIE

JADWIGA PIEŃKOWSKA

JADWIGA Bronisława, Józefa PIEŃKOWSKA, córka Edwarda, z domu Ciemochowska, ur. 17 marca 1902 roku w Częstochowie. Zawodowo nie pracowała. Ochrzczona w kościele św. Barbary w Częstochowie.

- We wrześniu 1939 roku mieszkaliśmy w Legionowie pod Warszawą. Mąż mój , Ludwik Pieńkowski , był oficerem służby stałej, w stopniu kapitana służył w I Dywizjonie Pociągów Pancernych, jako kwatermistrz. 6 września mąż przyszedł do mnie i mówi:"Musimy wyjechać, ja z całym bagażem kwatermistrza". Odpowiedziałam mu, że nie chcę wyjeżdżać z Legionowa, że tu jest nasz dom, tu mamy wszystko. Wtedy mąż zdenerwował się: "Ty sobie z niczego sprawy nie zdajesz, jeżeli nie wsiądziesz zaraz do samochodu, w łeb sobie strzelę". Nie było więcej gadania, zabrałam rzeczy, załadowali je do dużej ciężarówki razem z bagażem wojskowym. Ja jechałam z mężem i synem Tadeuszem w kolumnie samochodowej dywizjonu. Jechaliśmy na wschód. Dojechaliśmy w okolice Bursztyna, miasteczka położonego w odległości ok.100km na południe od Lwowa i ok. 80km na połd.-zach. od Tarnopola. Tam dowiedzieliśmy się 17 września, że Rosjanie weszli do Polski. Wtedy mój mąż zdecydował, że należy wszystkie dokumenty zniszczyć. Razem z innymi oficerami i żołnierzami z Dywizjonu rozpalili ognisko, wszystkie papiery mobilizacyjne zostały unicestwione, nic nie dostało się do rąk wroga. W czasie jazdy cały czas ostrzeliwana była kolumna nasza przez partyzantkę ukraińską. Do nas dołączyły się jeszcze inne transporty, stanowiliśmy duży oddział. W pewnym momencie doszły do nas wiadomości, że strzelają już nie Ukraińcy a Rosjanie . Natknęliśmy się na oddziały Armii Czerwonej. Po krótkiej walce trwającej około godziny -oddziały polskie poddały się.

Mój mąż zebrał wszystkich swoich oficerów i poszli na tę stronę gdzie byli bolszewicy, bo tak zażądali. Do łazika podszedł krasnoarmiejec, zabrał synowi flower. Protestowałam, tłumaczyłam, że to broń sportowa, a on:"niczewo, niczewo" i zaczął grzebać w rzeczach. Zabrał konserwy, głębszej rewizji nie było. Wszystkich pasażerów z łazika, były jeszcze inne żony oficerów, przesadzono do ciężarówki i zawieźli nas do Bursztyna, było to 21 września. Męża i innych oficerów wzięto do niewoli 19 września. W Bursztynie była szkoła, tam zobaczyłam ostatni raz męża. Stał wśród oficerów. Pożegnał się z nami, ostatnie jego słowa skierowane były do syna: "opiekuj się matką". Dowiedziałam się, że w Bursztynie są siostry zakonne, które ~~opiekują~~ zajmują się sierotami. Pojechałam do nich, miałam nadzieję zdobyć dla męża i innych oficerów cywilne ubranie. Męża już nie zobaczyłam. Pociągi kursowały, pojechałam z synem i z innymi paniami do Lwowa. Miałam dosyć dużo pakunków, więc najcięższą i najbardziej wartościową walizkę zostawiłam w bagażowni na dworcu. Dostałam kwit. Poszłyśmy na miasto, znalazłyśmy pokój do wynajęcia, ja i jeszcze jedna znajoma z Legionowa, żona oficera. Rozdzieliłyśmy się z innymi paniami, jedna z nich zaofiarowała się przechować mój pakunek z pelisą. Następnego dnia rano poszłam na dworzec po ~~wa~~ walizkę. Bagażowy był ten sam, szukał długo i troskliwie, walizki nie znalazł. A pani, do której poszłam po moją pelisę, powiedziała, że też ten bagaż straciłam, bo w nocy była rewizja i zabrano moją pelisę. Ale to nie jest ważne. W takich okolicznościach im mniej pakunków , tym lepiej. Nie chcieli nam wynająć pokoju na dłużej, zostawiłam ~~syna~~ Tadzika we Lwowie, a sama pojechałam do Żółkwi , do znajomej, zorientować się czy nas nie przygarnęłaby. Przyjęła mnie bardzo miło:"Doskonale. Jestem tu sama z synem, a dom pełen Moskali". Zostawiono jej z całego domu pokój z kuchnią. W pierwszych dniach października znaleźliśmy się u niej.

W początkach listopada przyszedł do niej pewien człowiek i przyniósł jej list. Tak monosylabami powiedziała mi, że jest to list od jej męża. Okazało się , że jej mąż urządził się tak: został po niemieckiej stronie administratorem jakiegoś majątku i chciał, aby ona przyjechała tam z ich synem. A ten człowiek, który przyniósł list był zaufanym przewodnikiem. Nie mówiła mi dokładnie, jak to wszystko będzie zorganizowane. W tym czasie jeden z Rosjan, jak się okazało ludzki komandir, powiedział jej w cztery oczy, że wszystkich będą wywozić do Rosji. Co tylko zdołała sprzedała z mieszkania Rosjanom. Po pewnym czasie znów zjawił się ten sam przewodnik, zabrał najpierw najbardziej wartościowe rzeczy dla niej i syna jej, po tygodniu przyszedł po nich. Zostałam sama ze swoim synem. Znajoma obiecała mi, że jeśli tylko szczęśliwie przejdą granicę, prześle mi tego samego przewodnika, on również nas przeprawi. Czekałam parę tygodni. Ci Rosjanie zorientowali się, że właścicielka mieszkania znikła i kazali nam się wynosić. Byłam już u innych znajomych parę dni, jak odszukał nas ten przewodnik i powiedział, że teraz może nas przeprowadzić. Było to w nocy 21 na 22 grudnia 1939 r. nad rzeką Sołokiją, niedaleko Rawy Ruskiej. Nasza znajoma przeszła tę rzekę jeszcze w bród. Gdy myśmy mieli przejść był już straszny mróz, śnieg pokrył bród . Przewodnik przywiózł nas furą najpierw do swojego domu, poczęstował nas śmietaną, w nocy wyszliśmy. Szła jeszcze z nami jakaś pani z Żółkwi, której nie znałam. Dochodzimy do krzaków , blisko rzeki, wychodzi z nich krasnoarmiejec z karabinem:"położyć się na śniegu". Podszedł do mnie z wycelowanym karabinem, a był z nim pies, wytresowany do łapania ludzi. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ale wyciągnęłam rękę i pogłaskałam tego strasznego psa po głowie. Żołnierz jak oparzony odskoczył do mnie i zmierzył z karabinu w mojego syna. Zerwałam się i przykryłam sobą syna. To znów zatrzymało krasnoarmiejca.

Wystrzelił parę razy w powietrze, przyszła grupa żołnierzy, zabrali nas.Zaprowadzono nas do okropnego miejsca, chyba był to chlew, z jednej strony stali mężczyźni, z drugiej kilka kobiet. Tadzika ~~syna~~ nie dałam sobie odebrać. Przetrwaliśmy tam całą noc, było bardzo zimno. Z rana zapakowano nas na ciężarowy samochód i zawieziono do Rawy Ruskiej. Jechaliśmy przez Żółkiew, zobaczył nas syn pani, u której ostatnio zatrzymaliśmy się i przekazał wiadomość, że nas złapano. To było Boże Narodzenie 1939 roku. Jak dojechaliśmy do Rawy Ruskiej odebrano mi syna. Tam pilnowali więźniów strażnicy Polacy, jeszcze się uchowali i oni pozwalali mi widywać się z synem. W Rawie Ruskiej poznałam (Marysię), późniejszą żonę literata (Leopolda) Buczkowskiego, z którą zaprzyjaźniłam się, przebyłam z nią drogę do ~~Kagru~~ (więzienia w Odessie.) Z Rawy Ruskiej przewieźli nas 7 stycznia do Lwowa, do "Brygidek". Zetknęłam się tam pewną żydówką, która się podle zachowała. Zabrała mi pierścionek i obrączkę (oraz zegarek ze złotą bransoletką,) synowi zegarek, a z mufki mojej, w której szukała (jak mi jej oddawała, ~~bez nie mam~~) schowanych kosztowności, wyciągnęła mi ~~zdjęcie~~ fotografię mojego męża i też mi ~~ją~~ zabrała. Nie mogłam tego jej przebaczyć.

We Lwowie , jak mi 7 stycznia zabrali syna, nie widziałam go przeszło sześć lat. Rozstaliśmy się bardzo pogodnie, bo nie przypuszczaliśmy , że nas rozdzielają.Kiedy to zrozumiałam, chciałam walić głową w mur, żeby mi było lżej, wstydziałam się tych innych kobiet, które też cierpiały. Ta rozpacz, z powodu utraty syna , nie opuszczała mnie.

W celi było nas kobiet chyba ze trzydzieści. Traktowanie obojętne. Rewizji nie było, żywiono nas zupą jak pomyje, dawano czarny chleb i wodę. W "Brygidkach" byłam jakieś dwa tygodnie. W pierwszych dniach lutego odesłano mnie etapem do Odessy. Transport był strasznie męczący. Parasza okropna.Ciągle obstukiwali wagony. Dostaliśmy na całą drogę kawałek kiełbasy, chleb i wodę.

Do Odessy transport był krótki, zaledwie parę dni. W więzieniu na korytarzu trzymali nas. Odebrano nasze papiery. Przechodziła koło nas jakaś starsza Rosjanka, jak się potem okazało lekarka, zapytała kim jesteśmy. Odpowiedziałyśmy, że Polki. Wtedy zawołała kogoś z obsługi i kazała przynieść kociołek gorącej kaszy " niech one zjedzą, przecież przez kilka dni nie jadły nic ciepłego". Zaprowadzono nas do celi. Była maleńka, trzy łóżka. Wepchnęli nas sześć, wypadało po dwie na jedno łóżko, jeszcze nie najgorzej, ale na jednym położyła się kobieta o imieniu Natalia, Polka i powiedziała:"ja tu będę rządzić. Mój mąż 5 lat siedział w polskim więzieniu. Wyjechał z córką, ja przeszłam granicę i zatrzymali mnie." Była pewna, że się wyjaśni i ją puszczą. Na drugim łóżku położyły się dwie kobiety z Rusi Podkarpackiej, zostało nas trzy na jedno łóżko: ja, Mavysia — późniejsza żona Leopolda Buczkowskiego (imieniem Bronka) i jeszcze jedna, bardzo miła, młoda dziewczyna. Miała ona piękną figurę, zdaje się była to Ukrainka. A Natalii, babie się dostało, pyskowała, pyskowała, aż wsadzili ją do karceru. Myślała, że będzie uprzywilejowana, jak wróciła z karceru była już cichutka. Zanim wsadzono nas do celi, zabrano nam na rewizję rzeczy. Ja miałam pasek do pończoch, gdzie wszyte było 300 dolarów w złocie, 10 sztuk po 20 dolarów i 10 po 10. Miałam ten pasek na sobie. W nocy udało mi się ~~ten pasek~~ go ściągnąć i włożyć do rzeczy, które, jak dotąd, nie były sprawdzane. Od razu znaleźli te dolary i zabrali. Zaczęło się śledztwo. Śledczy napominał mnie dobrotliwie, a trzeba było te dolary nam oddać, my ich nie zabieramy , przeliczymy i damy kwitancję na te pieniądze. Będziecie mogli w sklepie więziennym kupić, co zechcecie. " Przeliczyli na chyba 6 tys. rubli. (W czasie śledztwa zachowywano się wobec mnie poprawnie, ~~nie zaczepiano~~, nigdy mnie żaden nie dotknął. Groźni byli więźniowie, ci byli bardzo groźni. Za kilka dni ten sam śledczy znów mnie wezwał, pokazywał mi fotografie oficerów i pytał czy bywali u nas w dom

pytał, kto bywał u nas, jak się nazywał. Oczywiście nic nie powiedziałam: nie znałam, nie widziałam. Śledztwo było w nocy, zrywano ze snu. Raz na miesiąc mogłam z tym kwitem pójść pod konwojem do sklepu i kupić kaszty kwaszonej, ile chciałam, kilogram cukru, chałwy do 5 kg, papierosy. Był też chleb, ale mnie wystarczało tyle, ile dostawałam. W Odessie byłam od lutego do końca czerwca 1940 roku.

W pierwszych dniach lipca wywołano mnie z "wieszczami". Te wszystkie osoby, które były ze mną zostały. Wdzięczność ludzka jest czasami zaskakująca. Pani Maria Buczkowska, z którą wtedy rozstałam się, odnalazła mnie po wojnie, tak zachowała we wdzięcznje pamięci drobną pomoc, jaką jej tam okazałam, bo okrywałam ją i Bronkę ~~Ją drugą panią~~ w nocy swoim leżnikiem. (x)

Jak dowiedziałam się po wojnie, Maria i Bronka zostały jeszcze w lipcu 1940 r. zwolnione z więzienia w Odessie i wróciły do swych domów na terenach zajętych przez Moskali.

Wywołali z rzeczami mnie i Rosjanki (z różnych innych cel), które też miały jechać w etap. Odczytano mi wyrok: "5 lat trudowych isprawitelnych łagierjej". "Podpiszcie" kazali. "Nie podpiszę" powiedziałam. "A wsio rawno" i odczepił się. Nie miało to żadnego znaczenia czy podpiszę czy nie.

Pierwsze moje więzienie etapowe to był Charków. Było ono jeszcze możliwe, nie takie zatłoczone jak inne. Wszystkie więzienia przez jakie przeszłam były strasznie zapluskwione i zawszone. W Charkowie zapytałam xx o mój kwit, czy jedzie razem ze mną. "Naturalnie, razem z waszymi dokumentami". I więcej go nie widziałam. Wiedziałam, że ten kwit ukradną mi przy pierwszej okazji, co do tego nie miałam złudzeń. W więzieniu w Charkowie byłam w lipcu 1940 roku - dwa tygodnie. (Poznałam tam panią Marelję Kokoszko- urzędniczkę administracji wojskowej z Krakowa. Razem zawieziono nas do łagru.

Następne więzienie to był Syzrań. Już od Odessy jechaliśmy więziennymi wagonami. Zabite okno, korytarz z okratowaną szybą. Bardzo dobrze było jak udało się usiąść, bo było zatłoczone. W tych wagonach też były pluskwy, nie można było ani chwilę od nich odpocząć. Dawano jeść tzw. "bałandę" - zupę jak pomyje, wodę i chleb.

W Odessie dawano jeszcze kawałeczek cukru. Ja i tak nie mogłam jeść. Ja po prostu nigdy dużo nie jadłam, nie odczuwałam głodu. Ludzie silni to tak bardzo cierpią z powodu głodu.

Syzrań zrobił na mnie straszne wrażenie. Tak się zdarzyło, że w jakiś czas później i mój syn był etapem w Syzraniu, był tam umierający. Zobaczył idące Polki i zwrócił się do jednej z nich " błagam panią , jeżeli spotka pani moją matkę, proszę nie mówić w jakim jestem stanie. Proszę powiedzieć, że jestem zdrów i wysyłają mnie na Ural". Dowiedziałam się o tym w Teheranie. Ta kobieta odszukała mnie i powiedziała tylko to o co prosił ją mój syn, nic więcej. Dotrzymała słowa, ale unikała mnie, nie chciała więcej na ten temat rozmawiać. W Syzraniu też byłam dwa tygodnie, nie pamiętam stamtąd nikogo. Dawali nam do jedzenia małe rybki"tiulki na surowo, nie jadłam tego.

Kolejny etap to Czelabińsk. Też tam byłam zdaje się dwa tygodnie. Więzienie podobne jak w Syzraniu, jeszcze brudniejsze, jeszcze bardziej zapluskwione.

Czwarte więzienie było w Pietropawłosku. W więzieniach tych nie spotykałam Polek. Przyznam się, że byłam tak bardzo pochłonięta sobą, swoim cierpieniem, że nie wdawałam się w żadne rozmowy. Starałam się jak najmniej mówić.

Na miejsce przyjechałam w końcu sierpnia 1940r. Punktem rozdzielczym był Karabas. Jest to jakby wielkie koło, które ma wokół siebie inne mniejsze koła, te mają jeszcze swoje kółka. To są podobozy. W Karabasie nie ma więzienia, tylko barak. W Beduiku byłam na początku września. Z Karabasu, po skierowaniu do Beduika, jechałam w pociągu razem z Kazachami, bez eskorty. Miałam dużo pakunków i jedna dziewczyna (- Rosjanka), jak okazało się złodziejka, powiedziała mi, że pomoże, zabrała jeden pakunek, z bielizną pościelową i stołową. Na moich oczach rozsprzedała to w wagonie Kazachom.

Dojechaliśmy do jakiegoś punktu, kazali nam wysiąść i dalej na piechotę do Beduiku. Ten obóz to kawałek stepu ogrodzony drutem kolczastym, koło wewnętrznej strony zrobiona jest tzw. zona, czyli skopany grunt na szerokość 1 m. Codziennie rano badali, czy ktoś nie uciekł. Wokół obozu biegały psy. Miał wielkość chyba 2km na 3 km, nieduży. Były dwa baraki i kuchnia. Wchodziło się przez wartownię. Rano odbywało się tzw."podiom", a wieczorem apel. Liczyli, każdy stał jak chciał, żadnej dyscypliny.Nie szykanowali.

W baraku były nary, gołe, bez słomy. Trzeba było się z tym liczyć, że od razu zostanie się okradzioną. Ja miałam ciągle ze sobą leżnik, ciepły i miły. Mnie nie wolno było przydzielić do lżejszej pracy, miałam jakiś specjalny paragraf. Spotkałam w Beduiku bardzo miłe panie z Ukrainy, które pracowały w szpitalu i w sierocińcu.

Były to Polki - więźniarki polityczne,w liczbie około dziesięciu. Mieszkały przed uwięzieniem stale w ZSRR na Ukrainie.

Szczerze mogły rozmawiać tylko w cztery oczy. Były donosy, człowiek bał się cokolwiek powiedzieć. Jedna z nich poradziła mi, żebym dała coś ze swoich rzeczy, najlepiej szlafrok, one dadzą go lekarce, a ta zatrudni mnie w sierocińcu. Bardzo chętnie to zrobiłam. Zabrali mi korale i inne cenniejsze rzeczy, wszystkie ostre przedmioty, ale ubranie zostawili. Na trzeci dzień przyszła ta pani i powiedziała, że załatwione i będę pracowała w sierocińcu, w charakterze niańki.

Sierociniec był poza obozem. Idealnie czysty. Najstarsze dzieci były 4 letnie. Każde miało osobne łóżeczko, osobny nocnik Dzieci były dobrze karmione. Miały zabawki. Jedna z opiekunek stale prowadziła dzieci pod wielki portret Stalina:"smatritie eto diadia Stalin, on wam przysłał te zabawki, żebyście się miały czym bawić".O godzinie 12-tej w nocy trzeba było dzieci wasadzić na nocnik. Do obowiązków niańki należało też wyszorować w nocy podłogi. Praca była przez całą dobę, drugą odpoczywało się. Z tej dobrej pracy wyrzucili mnie po dwóch tygodniach

smatritie

ktoś doniósł, że ja mam za lekką pracę.

Te dzieci były od matek, kobiet-więźniarek, które za wszelką cenę chciały zajść w ciążę, bo od połowy ciąży dostawały co dzień kubek mleka, a przez całą ciążę nie wolno ich było dawać do ciężkich robót. Te kobiety były zupełnie moralnie zniszczone, zatraciły swoją godność. Jak wychodziły na wolność nie zabierały tych dzieci.

W obozie w Beduiku była pewna część odgrodzona, gdzie mieszkały uprzywilejowane więźniarki tzw. Kantorszczyki. Rosjanki, które pracowały w różnych kantorach. One nie przychodziy na wspólne jedzenie, dostawały osobno posiłki. Każda z nich miała odpowiedniego przyjaciela, który się nią opiekował. One ze zwykłymi więźniarkami w ogóle się nie zadawały. Wychodziły rano, wracały wieczorem. Było ich około dwudziestu.

Więźniarki, były to przeważnie osoby skazane politycznie za braci, mężów. Pamiętam dwie bardzo sympatyczne Polki z Ukrainy. Starsza pani , nazywała się Czajkowska, była kucharką w Beducku, wieczorami jak przychodziła po pracy przynosiła mi czasem gotowanego kartofla albo buraczka. Pytałam za co ją skazano:"ja nic nie zrobiłam - powiedziała - raz w 1920 roku napisałam do Polski i raz otrzymałam z Polski wiadomość." Opiekowała się nią druga Polka z Ukrainy - Stefa. Była ona pielęgniarką w szpitaliku dla wolnych i dla więźniarek. Chorób w Beduiku nie było, dawali dużo zastrzyków. W szpitalu były kobiety, które rodziły. Wracały one potem do obozu, a konwojent przychodził w ciągu dnia i wołał:"wychaditie mamki". Musiały siedem razy w ciągu doby przyprowadzić je do dzieci. Każda z nich dostawała przez okienko dziecko, na ladę, taką jak w sklepie. Nie wolno im było wejść do środka, do dzieci. Były one traktowane rzeczywiście jak mamki nie jak matki. A one nawet jak były zwalniane nie chciały zabierać dzieci, tłumaczyły wprost:"Nie wiem, czy je wyżywię. A tu wiem, że ma dobrze. Po co będę je brała?"

Prostytutki i złodziejki były oddzielnie.

Między tymi grupami nie było zadrażnień. Tam, gdzie ja ~~byłam~~ mieszkałam były polityczne. Ciągle obawiać się należało kradzieży, właściwie tylko to, co przy sobie miałam, było pewne. Ja od razu uszyłam sobie woreczek, bo tak mi poradzono i miałam w nim swój chleb i garnuszek aluminiowy, którym się zachwycano: "kakaja krasiwa kastrulka". Mogła mieć w nim wodę, nabrać zupy, z tym garnuszkiem nie rozstawałam się. Chleba dostawałyśmy 450g na dobę, gliniasty niedobry i dwa razy dziennie rzadką kaszę. Prócz tego był posiłek dla stachanowców tzw. "prembludo" - premiowane dania. Miałam szczęście być w jednym z podobozów w kuchni za pomagierkę. Pracowały tam dwie kucharki. ~~Panna Krajewska~~ Ukrainka Marfusza, a druga Polka (- Stasia), która z mężem poszła do Rosji w 1936 czy 1937. I ją i męża zesłali do łagru.

Kuchnia urządzona była zmyślnie. Na wysokość moich oczu wmurowane były kotły, bardzo duże, do herbaty, na zupę, do pierogów / to były te prembludy, czasem z mięsa baraniego/. Kucharki były ~~wysokie~~ postawne, ale nawet dla nich było to za wysoko. Przy piecu ~~stała~~ zwejdowała się ławka, one na tej ławce stały i dopiero wtedy sięgały do kotłów. Mnie nigdy nie dawały ciężkiej pracy, oszczędzały (mnie). Obierałam kartofle, krajałam jarzyny. Ale nie pozwolono mnie tam długo trzymać. Jak tylko zaczynało mi się troszkę lepiej wieść zaraz zabierano mnie na gorsze.

Jest bardzo perfidną metodą Moskali tak kierować więźniami, aby nigdy nie byli za długo w jednym miejscu. Ze mną też tak postępowano, w jednej pracy byłam najwyżej dwa tygodnie.

Pierwszą moją pracą było obieranie marchwi. Były w Beduiku olbrzymie piwnice, gdzie były przechowywane kwaszone ogórki, pomidory - świetnie to robili, moc marchwi. Obcinałam nać. Mogłam się marchwi najeść, ile chciałam. Stiełok patrzył i nie bronił jeść. Później dali mnie do szatkowania kapusty, ale zrobiło się już bardzo zimno. W zimie właściwie była

tylko jedna praca, tzw. "zadierżanije śniegu". Było to (zgarnianie śniegu w długie pryzmy) ~~wkopywanie śniegu~~ sposób na nawadnianie stepu.

Na wiosnę 1941 roku przerzucili mnie do podobozów. Z Krabasu pojechałam tam pociągiem. Konwojent prowadził nas spokojnie szłyśmy jak tłum.

Pracowałam w kamieniołomach, Mężczyźni wysadzali olbrzymie głazy, a kobiety zbierały (kruszywo) ~~kruszon~~ i znosiły go w jedno miejsce. Pracować można było tylko w parach słaby - słaby, mocny - mocny, bo inaczej ten mocny nie chciał pracować na słabego. Normę obliczano za całość i dzielono na dwa. Pracowałam w parze z bardzo sympatyczną Rosjanką. Brygadir też był ludzki robił przerwy: "kto ma co to pali, a kto nie ma to wącha". Nie doznałam żadnej zniewagi fizycznej.

Potem kazano mi owce paść. A to są diablice. Dali mi tylko gałąź. Żeby choć na chwilę stanęły, a one cigle biegały w poszukiwaniu trawy, lecz step był spalony słońcem. Musiałam też pilnować, aby nie porwał którejś wilk stepowy, za to odpowiadałam. Na noc zapędzałam je do zagrody. Nie miały co jeść i były bardzo rozdrażnione. Zamkałam bramę i rozpalałam duże ognisko, musiałam całą noc pilnować tego ognia, żeby wilki nie zbliżyły się. Byłam sama a owiec chyba ze sto.

Potem przerzucono mnie do dojenia owiec. Też bardzo się bałam, tym bardziej, że owce chorowały, a od owiec ludzie też zaczęli chorować. / prawdopodobnie motylica/. Był założony w oddalonym miejscu specjalny obóz dla chorych owiec i chorych ludzi / choroba objawiała się strasznym łamaniem w kościach/ Ci chorzy musieli obsługiwać chore zwierzęta.

Następna praca była z pozoru lekka, bo sianokosy. Ale sianokosy są straszne w tym spieczonym stepie. Pracował taki zespół traktorzysta, maszynista i grabielszczyca. Grabielszczycą byłam ja. (jest wyposażony w) ~~Obok~~ Kombajn ~~ma~~ olbrzymie grabie. (jechałam siedząc na specjalnym stołku) ~~szłam za nimi~~ i patrzyłam, czy są już napełnione.

Jak zebrała się odpowiednia porcja trawy, podnoszę (tam) (grabie) i opuszczam (tam) Wydawało się, że to praca doskonała. Traktorzystą był Rosjanin, maszynistą Polak ze Lwowa. Pewnego dnia przychodzi do mnie maszynista (traktorzysta-Rosjanin) i mówi, że ja jestem taka "czesna", że chciałby mieć ze mnie "łagierną żonę". Powiedziałam, że to wstyd, że śmiał do mnie przyjść z taką propozycją. Spotkałam go jeszcze w Teheranie, ale uciekał przede mną. Praca grabielszczycy oczywiście skończyła się.

Dostałam kolejną pracę - robienie cegieł. Najpierw glinę się kopie, potem silne kobiety wyrabiają ją nogami. Glinę miesza się z nawozem bydlęcym. Ja musiałam nakładać ją do formy i przenosić do wysuszenia. Było to bardzo ciężkie.

Potem wzięto mnie do kopania rowów nawadniających, tzw. "aryków". Wykopywało się wielki dół i na nosiłkach znosiło się glinę, żeby zrobić wał. Wieczorem przychodził taki człowiek, który miał obliczyć normę. Jak chciał dać komuś dużą normę to kładł kij poziomo, jak chciał dać małą stawiał pionowo.

Z prac letnich pamiętam jeszcze, jak wysłano mnie do układania siana w stóg. Był to duży stóg, układał go jeden Polak. Dali mi widły, abym brała siano i podnosiła do góry. Ja jestem niska, musiałam bardzo nieumiejętnie pracować, bo mnie zwymyślał.

W zimie 1940/1941 pracowałam przy "zadzierżaniu śniegu", raz wysłali mnie do wyładowywania węgla z wagonu. Dostałam szuflę, którą nie mogłam unieść. Zaczęłam grzebać się w tym węglu, nie dawałam rady. Wtedy brygadzir podszedł do mnie i mówi: " nie męczcie się w ten sposób" i pokazał mi, że szuflę należy włożyć pod węgiel, a wtedy węgiel będzie się sam zsuwał, wystarczy delikatnie go zrzucić.

Drugiej takiej zimy nie przetrzymałabym. Nie miałam właściwie ciepłych rzeczy. Pelisa stracona. Miałam tylko źrebaki, futro 3/4. Wyprułam z kołdry watę wełnianą i włożyłam pod to

futerko, nie miałam ani jednej pary ciepłej bielizny. Na nogach jesienne pantofle. Kobiety z Ukrainy miały walonki, wymieniłam się z nimi. Walonki te były bardzo niewygodne, powykrzywiane.

Raz na tydzień chodziliśmy do łaźni. W wielkim kotle grzała się woda. Dostawało się do blaszanej miski jedną porcję wody gorącej i jedną zimnej, do tego kawałeczek czarnego mydła, wielkości kostki cukru. W inne dni można było się tylko obmyć pod pompą. Wszędzie one były, ale w Beduiku była słona woda. Z menstruacją nie miałam kłopotu, bo straciłam zaraz w 1939 roku. Wiem, że podobnie stało się i u innych kobiet.

O czystość dbano w kuchni. Paleniska były z innej strony niż kotły, gdzie gotowano. Widziałam inspekcję kuchni. Przyszedł starszy oficer i białą rękawiczką sprawdzał czy kotły są czyste. Czyściło się je gliną.

Wśród politycznych zdarzyły się i takie osoby, które skazano za słuchanie anegdoty. Pytałam Rosjankę, z którą pracowałam razem w kamieniołomach, za co ją skazano. Za słuchanie anegdoty: " było trzech więźniów, którzy skazani zostali na śmierć - Ormianin, Rosjanin i Żyd. Mogli zgłosić przed śmiercią życzenie, które zostanie spełnione. Rosjanin powiedział: ja nic nie chcę, w nic nie wierzę, wszystko mi jedno co będzie po śmierci, chcę się teraz dobrze najeść. Ormianin powiedział, że on też chce tylko się najeść słoniny. Zapytali Żyda, a ten mówi: "chcę być pochowany obok Stalina". " A to jesteś głupi, przecież Stalin żyje". A na to Żyd: " nie szkodzi, ja poczekam". Dostała za słuchanie tej anegdoty w jej domu 5 lat.

Słyszałam z drugich ust o wypadku ludożerstwa na Ukrainie kiedy był straszny tam głód, w okresie tworzenia kołchozów. W pewnej rodzinie chłopskiej, gdzie męża wywieźli, a kobietę zostawili z kilkorgiem dzieci na pastwę głodu. I kiedy nie było już zupełnie nic do jedzenia ta matka zabiła najmłodsze dziecko, by nakrmić pozostałe.

~~Ludzie są źli~~

Ci ludzie może nie są aż tak źli, ale są bardzo nieszczęśliwi i biedni w tym ustroju. Ci dostojnicy również, bo jakby po linie chodzili, oni ciągle drżeli, że ich Stalin zrzuci. Jak taki ustrój może się utrzymać! I do nas go wprowadzili, tego ja po prostu nie mogę zrozumieć!

Urządzono nam kiedyś "spektakl". Postawili na piekącym słońcu trzy tzw. zakonnice. To były pobożne kobiety, ale one nie były w zakonie. One nie chciały pracować. Nie dano im nic jeść, ani pić, stały cały dzień na tym słońcu. Wieczorem zwołano "sąd" nad nimi. Pytają się pierwszej, powiedziała: " nie będę pracowała na diabłów". Druga i trzecia to samo powiedziała. Skazano je na roztrzelanie.

Nie wygłaszano żadnych pogadanek umoralniających ani agitujących politycznie. Można było narazić się modlitwą. Zbiorowych modlitw nie było. Można się było modlić tylko w cichości ducha.

Byli jeszcze więźniowie, których brano na funkcje. Byli to przeważnie spekulanci / zypytałam, czym można spekulować w Rosji? Wszystkim - odpowiedziano mi/, następnie ci, co nie przyszli do pracy albo spóźnili się. Najwięcej było spekulantów. Poznałam pewną Rosjankę skazaną właśnie za spekulację. Opowiedziała mi bardzo spokojnie:" ja nic nie zrobiłam. Dostałam urlop miłam córeczkę 4 lata i miałam zamiar wyjechać na wieś, żeby dziecko trochę odetchnęło. I tak jak to jest w naszym kraju, jadąc wzięła do walizki z ubraniami kilo mąki, kilo cukru, kilo kaszy, upiekłam ciasteczka. Udało mi się dostać do pociągu. Miejsce było tylko na korytarzu. W pewnej chwili zobaczyłam, że w jednym przedziale jest tylko chłopiec. Chciałam usiąść, a on krzyczy:"zdies tata, zdies mama"i nie pozwala mi usiąść. Odsunęłam tego chłopca, chyba dwuletniego i przy samym wyjściu usiadłam z córeczką na kolanach. Wrócili z bufetu jego mama i tata. Patrzę i zrobiło mi się straszno, zobaczyłam niebieskie epolety NKWD. Zaczęliśmy, jak to w pociągu, rozmawiać, nic się nie działo

Jak się pociąg zatrzymał, to enkawudzista wyszedł i wrócił z milicjantami, powiedział, że trzeba mnie zrewidować. Jak zrewidowali to wsadzili mnie za spekulację, bo miałam w walizce ten prowiant, a córeczkę zabrali do domu dziecka."

Tych więźniów brali na funkcję, bo byli najpewniejsi.

W sierpniu 1941 roku przenieśli mnie znowu do Beduiku. Wiedziałam, że jest wojna. Ten, co mnie eskortował, zaprowadził mnie do baraku kryminalistek. Ale na szczęście była tam jedna kobieta, która wiedziała, że ja jestem polityczna i od razu zabrała mnie do politycznych. Następnego dnia powiedzieli, że idę do pracy na zbieranie pomidorów. Można je było jeść, ile się chciało, nie można było wynosić. Ja miałam dwie kieszenie, schowałam po jednym pomidorze, striełok widział, ale nie odebrał. Była tam jedna, bardzo gruba kobieta, też Polka, ona wynosiła pomidory dla mężczyzn. Cały sierpień byłam przy tych pomidorach. Pracowały tam, w pewnej odległości od więźniarek, też wolne kobiety, żony tych, co nas pilnowali. Ale im nie wolno było się z nami zadawać.

Pierwszego czy drugiego września 1941 r. zawołali mnie i panią Aurelję Kokoszko i oznajmiono nam, że możemy jechać na wolność. Odwieziono nas do Karabasu. W Karabasie, w kancelarii wisiała olbrzymia mapa. Powiedziano nam do których miejscowości wolno nam wyjechać. My chciałyśmy tylko na południe, żeby uciec przed zimą. Wybrałyśmy południowy Kazachstan. Dali nam po rublu, śledzia, chleb i powiedzieli, że możemy jechać jako wolne. Skierowali nas do Usz-Tobe. Nieduże miasteczko. Zameldowałyśmy się w NKWD. Razem ze mną była Aurelia Kokoszko, urzędniczka z Krakowa. Spotkałam się z nią na etapie w Charkowie. W Usz-Tobe rozłożyłyśmy swoje manatki pod drzewkiem. W NKWD dano nam skierowanie do pracy w kołchozie koreańskim.

W ~~Usztobe~~ Usz-Tobe pierwszy raz od tylu lat poszłyśmy do jadłodajni. Zjadłyśmy po dużym talerzu kapuśniaku z pomidorami, do tego był kawałek chleba.Nam ten kapuśniak bardzo smakował, poprosiłyśmy o następny, jak nam go przyniesiono, poprosiłyśmy o chleb, a na to kelnerka powiedziała:"chytryje Polaczki, jeszcze wam chleba trzeba".

Przyjechał wóz i zawiózł nas do kołchozu. Rósł tam ryż, kawony, arbuzy, kartofle.

Mnie skierowano do pracy w oczyszczalni ryżu.Praca była tylko pozornie lekka,odbywała się w pomieszczeniu.Powstawała tam ogromna ilość pyłu składającego się z ostrych łusek ziarn ryżu. Ten pył wciskał się wszędzie,szczególnie do oczu powodując ciężkie stany zapalne spojówek.Po tygodniu tej pracy praktycznie zaniewidziałam.Następnie skierowano mnie do kopania ziemniaków.

Koreańczycy wskazali nam lepiankę, gdzie we dwie zamieszkałyśmy. Była tam kuchenka, można było coś ugotować,ale żywienie było u Koreańczyków. Codziennie rano herbata, nie znali chleba. W ich kuchni był wielki kocioł, na nim drewniana płyta, a na tej płycie „gotowały się" paluszki z mąki. Nam to bardzo nie smakowało. Postarali się, aby przywożono dla nas z ~~Usztoba~~ Usz-Tobe chleb. Na obiad była dobra zupa z ryżem, jarzynami, z mięsem, zupełnie jadalna. Dawali nam również po pół arbuza. To był już luksus.Tam dostałyśmy się w pierwszej połowie (września) 1941 roku. Po dwóch tygodniach zjawił się jakiś Polak i zapytał, czy wiemy , że wojska polskie są gromadzone w Buzułuku. Jak ja to usłyszałam! Wiedziałam, że tylko w wojsku mogę męża i syna znaleźć. Poszłyśmy na piechotę (do Usz-Tobe.) Koreńczycy zapewniali, że wybudują piekarnię, żeby zostać. Podziękowałyśmy im i do ~~Usztoba~~ (Usz-Tobe.) Tam prędko do NKWD, żeby dali pozwolenie, żebyśmy mogły pojechać do Buzułuku. To było coś, o co trzeba było błagać. W końcu zgodzili się:"i tak niedojedziecie, przecież wojna, przecież to Azja,marnie zginiecie ".

Najpierw trzeba było iść do "sanobrobotki", właściwie po to, żeby tam nabrać wszy, ale trzeba było mieć zaświadczenie Dopiero wtedy można było kupić bilet. Z ~~Usztoba~~ Usz-Tobe szedł pociąg raz na dobę. Po dwóch czy trzech dobach dostałyśmy bilet, ale dostać się do pociągu to była nowa sprawa. W końcu wsiadłyśmy. Był to koniec września, ale jeszcze było bardzo gorąco. Jechałyśmy przez Ałma-Atę, sprzedawano tam lody.

Jechali różni ludzie, z tej podróży nie pamiętam nikogo. Wagony były osobowe. Okropnie zachowywały się konduktorki, spychały pasażerów ze schodów. Na stacji Czkałow trzeba było zrobić coś zupełnie idiotycznego - ostemplować "kompasirówkę" - bilet, żeby móc jechać dalej. Znów trzeba było stać bez końca. Wreszcie i to załatwiłyśmy. Dobrodziejstwem Rosji jest "kipiatok". Można go dostać wszędzie. Miałyśmy zgromadzone chyba z 5 kilogramów chleba i to musiało nam wystarczyć na dwa tygodnie. Pani Aurelia była dużo starsza ode mnie. Trudno było jej schodzić po oblodzonych stopniach wagonu, ja zupełnie nie miała siły chodzić po kipiatok. Na pewnej stacji wsiadł jakiś pan z żoną, rozmawiali po polsku i akurat usiedli koło nas. Ja go nie poznałam, ale on mnie poznał. Był to kolega mojego męża, nazywał się ~~Kliszatko~~ Książatko. Oboje siedli, pożywiali się. Myśmy patrzyły w drugą stronę. W końcu wyciągnął jakieś ciasteczka i poczęstował nas. Wzięłyśmy a on powiedział :"moja biedna żona 6 godzin stała, żeby dostać te ciasteczka". W gardle mi stanął ten poczęstunek. W Buzułuku prosił mnie, żebym mu podpisała zaświadczenie, że jest oficerem.

Czkałow

W podróży spotkałam też życzliwych ludzi - kapitana marynarki Jankowskiego z żoną, z którą potem w wojsku razem pracowałam.

Do Buzułuku dojechałyśmy 26 listopada 1941r. Był wieczór, na stacji gdzieś przytuliłyśmy się. Dowiedziałam się, że gen. Anders transportów z Polakami nie przyjmuje, że pociągi z Polakami kierowane są do Turkiestanu. A to było kłamstwo! Moskale to my wyśliili! Anders nawet 4 tys, Żydów wywiózł, z tego 3 tys. zostało w Palestynie. Z rana poszłam odszukać dowództwo armii. Powiedzieli mi, żeby iść, iść prosto, aż będzie chorągiew polska. Szłam sama i zobaczyłam w jakiejś przecznicy flagę polską. Skręciłam tam, a z domu wychodzi dwóch oficerów. Mieli wysokie rosyjskie czapki, ale z orzełkiem. Zapatyłam, czy to dowództwo, bo szukam swojego męża. Starszy oficer, do którego się nie zwróciłam, powiedział mi, że takiego oficera nie ma, ale może nadjedzie

bo ciągle jeszcze napływają. "Jadę do dowództwa, zawiozę tam panią". Okazało się, że był to generał Anders ze swoim adiutante Jak dojechaliśmy do dowództwa generał powiedział do adiutanta, żeby zaopiekował się mną. Ale ja już dostrzegłam kolegów mojego męża. Dowiedziałam się, że ani męża ani syna w Buzułuku nie ma. Zaopiekował się mną dowódca broni pancernej. Nie chciałam wstępować do wojska, ale wytłumaczono mi, że to jedyny dla mnie ratunek W końcu zdecydowałam się wstąpić do Armii Polskiej. Zajęto się mną serdecznie. Dostałam przydział do lotnictwa. Dowódcą był porucznik Wicherkiewicz, w miejscowości Kermine , w Uzbekistanie Było nas tam sześć Polek do prowadzenia zajęć oświatowych. Siedem eskadr i jedna kompania marynarzy. Ja dostałam 7 i 3 eskadrę, druga pani kompanię marynarzy i eskadrę, a te młodsze panie po jednej eskadrze. Wicherkiewiecz był komunistą i został w Rosji razem ze swoim podchorążym. Znałam go, bo musiałam uzgadniać z nim tematy pogadanek.

Byliśmy głodni, bosi, nędza z biedą. Taki straszny był głód w Kermine, że żołnierze łapali na plaży żółwie i piekli je w ognisku. Kiedyś na rynku kupiłam sobie mleka, ale musiałam je wylać, bo było słone, z wielbłądzic. Można było kupić "uriuk", suszone merele. Dzikie sady morelowe ciągnęły się kilometrami. Z początku stołowałyśmy się w ośrodku, gdzie Rosjanki prowadziły jadłodalnię. Ale gotowały bardzo kiepsko, więc poprosiłyśmy, aby nam dawano indywidualnie nasz przydział prowiantu i przyrządzałyśmy same posiłki po przyjściu z pracy. Dostałam razem z koleżanką (-Danutą Gorączko-) kwaterę u Rosjanki, mieszkałyśmy razem w jednej izbie.Wieczorem gotowałam, przeważnie gulasz, do tego kluski kładzine z mąki i wody. Smażyłam mięso na oleju. Ta Rosjanka tak patrzyła na to nasze jedzenie, że nie mogłyśmy jej nie poczęstować. Straszny był tam głód. To Kermine dało się we znaki. Ponadto we wszystkich polskich obozach wojskowych panowały epidemie:tyfusu,czerwonki i malarii.W Kermine była tylko jedna trumna służąca wyłącznie do przewożenia ciała zmarłego na cmentarz.

Wyjechałyśmy w marcu 1942 roku. Lotników i marynarzy potrzebo-

wali Anglicy do wyszkolenia. Pojechałyśmy razem z lotnikami. Do obowiązków moich należały rozmowy oświatowe. Nie było żadnych podręczników. Opowiadałam książki, to, co pamiętałam z historii, geografii Polski. Były to pogadanki na dowolne tematy, niepolityczne. Dostawałam wynagrodzenie za męża i za swoją pracę. Nic właściwie nie można było kupić.

Z Krasnowodska do Pahlevi ewakuowano nas statkiem ~~[chyba]~~ rosyjskim. Sprawy transportowe tamtej bazy załatwiał major czy już ppłk. Zygmunt Berling.

W Krasnowodsku odebrano wszystkie pieniądze rosyjskie, dostałam kwit, schowałam go. Dopiero jeden z kolegów męża powiedział mi, że mogę dostać za te pieniądze rosyjskie funty angielskie. W Rosji wtedy 400 rubli kosztowało kilo masła. A w Anglii za te pieniądze, które uważałam za śmiecie, dostałam pewną sumę, za którą mogłam już coś kupić. Na statek załadowani byli tylko lotnicy i my, nie było cywili. Dopiero dwa miesiące trwała ewakuacja. Bardzo spokojnie. Żadnych rewizji.

W Pahlevi był zorganizowany Czerwony Krzyż. Zaproponował mi pan Tuvé pracę w Czerwonym Krzyżu. Pan Tuvé był to Polak stale mieszkający w Persji, przedstwiciel firmy Norblin, bardzo sympatyczny starszy pan. Zaangażował mnie jako pomocnicę. Oszołomiło mnie jedzenie - moc wszystkiego , owoce, jarzyny, wędliny, mięso. Cukiernie, jak w najlepszych przedwojennych czasach w Warszawie. W Czerwonym Krzyżu zajmowałam się rozdawaniem ubrań. Trzeba było przygotować odzież, oczekiwaliśmy ewakuacji cywili. Nas wojskowi nie interesowali, tylko cywile. Ubrania przyszły w ogromnych pakach z Ameryki i były tylko dla cywili. W Pahlevi byłam jakieś dwa miesiące.

Potem pojechałam do Teheranu. Pojechałam indywidualnie. Tam zostałam zaangażowana jako kasjerka w świetlicy-kantynie.

Bardzo prędko zapoznałam się z monetami perskimi: tuman - złoty osiemdziesiąt, krany - dwadzieścia groszy. W języku urzędowym nazywały się riale. Miałam podwójny bloczek. Jak podchodził żołnierz mówił, co chce: jajecznicę, parówki, ciastka, napoje, owoce. Dawałam mu kartę do bufetu. Zaczynałam pracę o 14 i pracowałam do 22 - giej. W Teheranie spotkałam panią Ziobrową oraz Ninę Kurpiankę, tę młodą dziewczynę, która przekazała mi wiadomość od mojego syna z Sozrania. Nie szukałam znajomych, bo każdy chciał wiedziać , co się dzieje z moi bliskimi, a ja już nie mogłam o tym mówić. Chciałam , żeby mnie zostawili w spokoju. W Teheranie byłam cały 1942 rok do maja 1943. Wywozili wtedy wszystkich Polaków z Teheranu, bo miało się odbyć to słynne spotkanie Trójki. Stalin sobie nie życzył, aby Polacy byli w Teheranie w tym okresie.

W 1943 roku znaleźliśmy się w tej części pustyni, gdzie nic nie było prócz skorpionów i strasznego upału. Tam ugryzł mnie skorpion. Cerowałam i jak poczułam ukłucie myślałam ,że to igła. W nocy zaczęłam puchnąć. Na szczęście ugryzł mnie samiec i odratowano mnie.

Obóz był nad Tygrysem. Nie dziwię się, że ta rzeka tak się nazywa. Jest wstrętna, gliniasta. Raz tylko wykąpałam się, od razu poszłam pod prysznic. Anglicy doskonale organizowali obozy. Były duże namioty z moskiterią. Był to obóz przejściowy nie miałam tam żadnej pracy. Wyruszyliśmy pod koniec czerwca (1943r.) W drodze dowiedzieliśmy się, że Sikorski zginął. Rozpaczaliśmy. Mówiło się, że to Sowieci zamordowali tego wielkiego Polaka.

Dotarłam do Palestyny.

W pierwszych dniach grudnia 1943 roku zostałam skierowana do Anglii. To była luksusowa podróż. Jechaliśmy jednym z pierwszych transportów przez Morze Śródziemne. Trzy okręty pasażerskie, a konwój składał się z 30 okrętów, były z nami okręty sanitarne.

Płynęliśmy okrężną drogą , koło Wysp Azorskich, po dwóch tygodniach wylądowaliśmy w Szkocji, w porcie Berwick.

Cywili na okrętach nie było, tylko wojsko. Można było chodzić po pokładzie, tylko trzeba było mieć ze sobą kamizelkę ratunkową, a u pasa latarkę i pudełko z czekoladą. Pokazano nam w jaki sposób należy skakać do łodzi ratunkowych. To nie jest takie proste, bo duża odległość dzieli pokład od morza. Było kilka próbnych alarmów, ale na szczście nie zostaliśmy zbombardowani. Płynęło tylko wojsko polskie. Bardzo patriotyczna panowała atmosfera, jeszcze nie wiedzieliśmy o ustaleniach w Teheranie, jeszcze nie wiedzieliśmy, że nas mogą Anglicy tak załatwić. A Roosvelt - natchnienie narodów! Bajki dla grzecznych dzieci. Był z nami kapelan. Codziennie o 9 tej było nabożeństwo, ale bez żadnych nacisków, kto chciał to chodził, kto nie to nie. Kąpiele musieliśmy ograniczyć do minimum. W słonej wodzie trudno się kąpać, włosy robią się jak druty. Tylko raz pozwolono się wykąpać w ograniczonej ilości wody. Jedzenie było wyśmienite. Na śniadanie jajka na bekonie, kawa ze śmietanką, ciasto, owoce. Kabiny bardzo wygodne. Odpoczęliśmy.

Dopłynęliśmy do Berwick, w Szkocji. Szkoci byli jeszcze wtedy bardzo sympatyczni dla Polaków, jak wychodziło się na ulicę zapraszali na cup of thee. Później się to zmieniło.

W styczniu 1944 roku dostałam przydział do Specjalnego Oddziału Spadochronowego, dowodzonego przez mjr. Szymanowskiego, które było na budżecie angielskim. Stacjonował to wojsko koło m. Horsham (hrabstwo Sussex) ok. 80 km od Londynu, we wspaniałym zamku Warnham Court, z XIV wieku. Cała administracja była w ręku Anglików, z dowództwa Polakami byli major Szymanowski, kapitan Kowalski od wyszkolenia, por. Stępień, jeszcze jeden Polak oficer gospodarczy, sierżant i ksiądz.

Moja praca to była znów działalność oświatowa i prowadzenie kantyny.

Szkoleni byli Polacy, którzy byli we Francji i mieli być jako cichociemni zrzuceni do Francji. Z nimi trzeba było rozmawiać o tym, co ich interesowało. Wiedzieli, że ja byłam w Rosji i o to pytali. Mówiłam, ale nie o swoich przeżyciach, tylko o tym jak jest w Rosji. I jacy są ci Anglicy! Przychodzi do mnie major Szymanowski i mówi:"proszę pani, Anglicy się do mnie zwrócili, że pani niepotrzebnie rozmawia o Rosjanach, zwłaszcza, proszę żeby pani nie mówiła o nich źle."

Warunki ~~tam~~ były luksusowe. Wspaniały zamek, park ze znakomitą roślinnością. W Anglii bardzo surowo był przestrzegany wojenny przepis, że jeśli właściciel ziemski miał córkę, to musiała ona albo być w służbie wojskowej albo prowadzić sama gospodarstwo. Nie wolno było trzymać służby. Dlatego właściciel wynajął, za duże zresztą pieniądze, tę posiadłość wojsku. Ponieważ ja byłam jedyną kobietą w tym oddziale, wynajęto dla mnie pokój w wiosce. Było tam dość prymitywnie, ale miałam wreszcie osobny pokój, tylko dla siebie. Co za ulga, po tylu latach zaznałam nareszcie intymności. Niezbyt opanowałam angielski. Pracowałam od 11 do 22 wieczorem. W kantynie były tylko papierosy, kawa ze śmietanką, robiłam kanapki. Z jedzeniem w Anglii było kiepsko jak wyjeżdżałam na urlop dostałam przydział: kartę na dwa jajka tygodniowo, 1 kotlet wieprzowy na tydzień. Nabiał i pieczywo było bez kartek, ale bardzo ograniczone.

Widział am, jak oddział ćwiczył. Przedeę wszystkim ciche zabijanie na manekinach w parku. Działali w piątkę: jeden oficer i czterech podoficerów. Były też próbne opanowania ~~zajęcia~~ całych miejscowości. O takich manewarach był uprzedzony burmistrz. Był to jedyny (polski) oddział ciechociemnych na budżecie angielskim. Wymagania były też specjalne. Wszyscy spadochroniarze byli młodzi, znali język francuski i warunki we Francji. (Po wykonaniu zadania na tyłach wroga) Nie wracali do oddziału.

Jak przyjechałam tam uprzedzono mnie, że nie wolno mi

wysłać żadnego listu, który nie byłby oddany do dowództwa, nie wolno mi nikogo poznać, kogo tutaj widzę, zapomnieć mam nazwiska. W oddziale tym byłam do 8 maja 1945 roku.

W Anglii od razu zgłosiłam się do Czerwonego Krzyża. Powiedzieli mi, że o mężu nic nie wiedzą, a o synu, że był w 1943 roku na Uralu. Syn później opowiedział mi, że posłał o sobie wiadomość do ambasady w Kujbyszewie.

Wreszcie nadeszła (w czerwcu 1945r.) wiadomość od syna. Dostałam telefon z Londynu, (z Komendy Głównej) że jest list dla mnie. Pojechałam do Londynu, komendantka dała mi list od syna. Wtedy powiedziałam jej:"Wiem jakie są nastroje w Anglii, jak bardzo potępieni są ci, którzy chcą wrócić do kraju. Ja chcę wrócić do syna. Wiem, że jest tam bardzo źle i bardzo trudno, ale (jeśli) tam jest mój syn, tam muszę wrócić."

Wróciłam do kraju jedynym transportem kobiet i żołnierzy, który wrócił do kraju w mundurach i tutaj został zdemobilizowany. Ja zostałam zdemobilizowany w Gliwicach, gdzie wówczas studiował mój syn. Inni musieli stawić się do ambasady w Londynie i wracali po cywilnemu.

Przypłynęliśmy do Gdańska 19 marca 1946 roku, statkiem zdaje się polskim. Nikt na nas nie czekał, nie było wiadomo, że taki statek przypłynie. Pojechałam pociągiem do Warszawy, gdzie mieszkał mój brat z rodziną i stamtąd ~~mój~~ brat zatelegrafował do syna, że jestem. (Tadzik) przyjechał po mnie z Gliwic. Był studentem wstępnego roku Politechniki Gliwickiej.

Nie widziałam go przeszło sześć lat. Od tego czasu jestem stale z nim i jego rodziną.

Nastroje w Anglii w stosunku do tych, co wracali były okropne. Anglicy mówli:"macie swój kraj, wyjeżdżajcie jak najprędzej". Natomiast Polacy uważali, że to zdrada, przejście na komunizm. Jakby nie rozumieli, że dostaliśmy się pod drugą okupację, nie wiadomo jak długo trwającą.

Ale tam jest mój kraj, nie będą mi wytykać , że jestem obcokrajowcem.

Niech sobie będą tacy , jacy są,Niemcy, bolszewicy. A to jest mój kraj i tego mi nikt nie odbierze. To jest mój kraj, moja ojczyna.

Nagrane i spisane w Warszawie, w maju 1989roku.

Elżbieta Binder

Indeks nazwisk do relacji Jadwigi Pieńkowskiej

1. Jadwiga, Bronisława, Józefa Pieńkowska, z d. Ciemochowska, córka Edwarda, ur. 17 marca 1902 roku. Aresztowana 22 grudnia 1939r więziona i osadzona w łagrze, ewakuowana do Presji, przez Iran i Palestynę ewakuowana do Anglii, służyła w Specjalnym Oddziale Spadochronowym / nie skakała/, wróciła do Polski w 1946r.

2. Ludwik Pieńkowski, mąż ww, syn Kazimierza, służył w stopniu kapitana w I Dywizjonie Pociągów Pancernych. Wzięty do niewoli, zamordowany w Katyniu

3. Tadeusz Pieńkowski , syn ww, ur. 12 sierpnia 1924, aresztowany z matką, był w łagrze dla małoletnich w Wierchoturije, służył w 9 pułku piechoty, III dywizji im. R. Traugutta, następnie jako ppor. w I Korpusie Pancernym. Zdemobilizowany w październiku 1945r.

---

4. Maria Buczkowska, żona Leopolda Buczkowskiego, literata - więzienie w Rawie Ruskiej, etap "Brygidki" i więzienie w Odessie. 1940r
5. Bronka, dziewczyna z więzienia w "Brygidkach" - 1940r
6. Aurelia Kokoszko, urzędniczka z Krakowa, więzienie w Chrakowie 1940r, pobyt w Beduiku, w Usz-Tobe 1941
7. Czejkowska
8. Stefa

} Polki z Ukrainy, kucharki z Beduiku 1940, 1941

9. Książatko, oficer - Buzułuk XI.1941
10. Danuta Gorączko - Kermine 1941/1942
11. Wicherkiewicz, oficer - Kermine
12. Berling Zygmunt, ppłk - Kermine
13. Nina Kurpianka
14. p.Ziobrowa

} pobyt w Teheranie 1943

15. Stefan Szymanowski, major — Specjalny Oddział Spadochronowy 1944 r.
16. Karol Kowalski, kapitan — " " "
17. Stępień , porucznik — " " "

Do relacji Jadwigi Pieńkowskiej

Na stronie 21 jest mowa o Specjalnym Oddziale Spadochronowym.

O tym oddziale podano w książce pt.:

"Polonia zachodnioeuropejska w planach Rządu RP na emigracji (1940-1944) - akcja kontynentalna.

Autor: Tadeusz Panęcki

Państwowe Wydawnictwa Naukowe, Warszawa 1986.

Strony: 174, 175, 176, 177.

Nazwa oddziału: Samodzielna Kompania Grenadierów (SKG)

dca (od grudnia 1943r.) mjr Stefan Szymanowski

dca "Grupy Bojowej K" - kpt. Karol Kowalski

dca "Grupy Bojowej S" - por Adolf Stępień

Stan SKG: 140 żołnierzy, w tym: 4 oficerów sztabowych,
17 oficerów młodszych,
53 podoficerów i chorążych,
66 szeregowych.

Podstawową jednostką dywersyjną była tzw."piątka".

Etat "piątki" - dowódca (ppor., por.),
- zastępca (st.sierż., sierż.),
- saper (kpr.)
- strzelec wyborowy (kpr., st.szer.),
- radiooperator (plut.).

"Piątki" formowano na zasadach dobrowolności.

Dn. 27 lutego 1944 r., rozkazem NW, SKG otrzymała nowy etat: 182 grenadierów, w tym: 5 oficerów sztabowych, 34 oficerów młodszych, 68 chorążych i podoficerów oraz 75 szeregowych.

(W-wa, dn. 29 maja 1989r.)